Rok I. Lwów, czwartek 9. kwietnia 1908. Nr. 9.

2 centy

GONIEC

4 hal.

Wychodzi codziennie o 12. w poł.
REDAKTOROWIE:
Stanisław Tokarski i Stanisław Brandowski.

PRENUMERATA:

We Lwowie:	Na prowincyi:
miesięcznie . . . . 1·— K	miesięczn. z przes. pocztową 1·50 K
„ z odnoszeniem do domu 1·50 „	kwartalnie „ „ 4·50 „
Numer pojedynczy . . 4 halerze	Numer pojedynczy . . 6 halerze

Zagranicą, 3 franki miesięcznie z przesyłką pocztową

Ceny ogłoszeń: 20 halerzy za 1-szpaltowy wiersz petitem	Redakcya i Administracya: Lwów, Zimorowicza l. 17. Numer telefonu 740.	Drobne ogłoszenia po 4 hal. od wyrazu. Najmniejsze ogłoszenie 40 hal.

Czytelnikom naszym

zwracamy jeszcze raz uwagę, że wszelkie przesyłki adresowane „Goniec Polski“ uważać należy za przepadłe, gdyż odbiera je ks. Gorazdowski, a pisma pod tym tytułem wydawać mu nie wolno.

Prosimy zatem, tak listy jak i przekazy pieniężne adresować:

„Goniec“, Lwów, ul. Zimorowicza 17, przyczem zwracamy uwagę, że miesięczna prenumerata „Gońca“ kosztuje wraz z przesyłką pocztową 1 kor. 50 hal., numer pojedynczy na prowincyi 3 ct., we Lwowie zaś 2 ct.

Co dzień niesie?

Spotyka mnie dawny a dobry znajomy, pewien urzędnik skarbowy, i wita się ze mną tak nieszczęśliwem spojrzeniem, jak ks. Gorazdowski po stracie śruby. I nieczekając mojego pytania, poczyna się zaraz przedemną wywnętrzać:

— Panie, ja chyba zdechnę w tym miesiącu, albo się powieszę, albo do kryminału pójdę, a to wszystko przez moją żonę!

— Niby czemu?

— Wiosna jest i kobieta chce koniecznie nowej toalety, bo — powiada — w tamtorocznej wstyd jej wyjść na ulicę. Inny żakiet, inną suknię, inny kapelusz, inną parasolkę, razem ze 300 koron. Powiada, że musi to mieć, bo inaczej życie niema dla niej żadnej wartości, jeźli się ani nawet po ludzku ubrać niemoże. Żebyś pan wiedział. jak ona szykownie wygląda w zeszłorocznej toalecie, a teraz wyszukała jakieś okropne, przestronne pludry, i naparła się ich, że codzien mam o to komedye i tragedye w domu. Bój się pan Boga, toż to ruina chcieć się koniecznie i ślepo stosować do mody. Mojem zdaniem te nowe szmaty są sto koron warte, ale trzysta kosztują, bo to ostatnia moda. Ja niemam trzystu koron miesięcznej płacy... Zeszłego roku wydałem czterysta koron, bom myślał, że będę miał parę lat spokoju, przynajmniej co do żakietu i parasolki.

— A czemu pan jest takim safandułą i ulega żonie?

— A co mam robić, skoro beczy i nigdzie wyjść niechce, bo ją wstyd, a głównie przed znajomymi. Pamiętam, jak przeszłego roku posprawiała sobie te nowe łachy, to dwa tygodnie oblatywała wszystkie przyjaciółki. aby się swoją toaletą pochwalić, i wracała do domu taka rozpromieniona, bo — powiada — X. pękała ze zazdrości, Z. ma już rzeczy na wiosnę, ale te się ani umyły do jej toalety, a Ypsylonowej mąż niechce dać pieniędzy i będzie musiała wziąć na kredyt u krawcowej, ale ona już u krawcowej była

Żywcem pogrzebany.



i przestrzegła ją, aby Ypsylonowej niekredytować, bo mąż niebędzie płacił. Mówię panu, nie nowa toaleta ją cieszyła, tylko zazdrość tych przyjaciółek, a właściwie nieprzyjaciółek. Żona sama przyznaje, że w tamtegorocznym żakiecie lepiej wygląda, gustowniej leży, ale on już żadną z przyjaciółek nie zirytuje, w żadnej nie obudzi zazdrości. Proszę pana, i ja nato, aby się jakimś tam babom żółć rozlewała, mam się rujnować, mam poświęcać na całoroczną pensyę? Co mi pan radzi zrobić?

— Powiesić się, tak jak to pan na wstępie obiecywałeś.

U nas i na świecie.

Nasi domorośli socyaliści nadstawiają swoją nogę wszędzie, gdzie tylko konia kują i chcą uchodzić gwałtem za partyę społeczną, z którąby społeczeństwo liczyć się musiało. Na szczęście społeczeństwo ma dokładne pojęcie o wartości moralnej paru „ludzi“ mieniących się aż... stronnictwem. Szczęście również, że z powodu prostactwa, nieuctwa i nietrzeźwości ustawicznej, nawet analfabeta robotnik poznaje się na ich wartości i stroni od nich jak od zarazy, tembardziej, że dybią oni na każdy grosz ciężko zapracowany, który w postaci dziesięciny oddawać im musi.

Mamy do zanotowania nowy blamaż garstki lwowskich pauprów

w sprawie uniwersytetu lwowskiego.

Wystąpili oni bardzo energicznie przeciw senatowi lwowskiemu, który uchwalił nie przyłączać się do protestu w sprawie prof. Wahrmunda. Ten atak zgrai socyalistycznej na grono profesorów, przedewszystkiem zdyskredytował ją samą do reszty nawet w oczach najciemniejszego analfabety. Skąd, jakiem prawem, garstka nieuków, prostaków, o studyach nieprzekraczających szkoły normalnej ma prawo mieszać się do uchwał senatu? Na to jedna jedyna odpowiedź: Przecie psy wyją do księżyca!...

W grupie stronnictw ruskich

zawrzała walka na śmierć i życie. Po jednej stronie starorusini jako istotni reprezentanci narodu ruskiego, po drugiej zaś Ukraińcy. Ci ostatni reprezentują tylko sztucznie wytworzony w swych mózgownicach naród „ukraiński“, którego w Galicyi nie ma ani śladu.

Właściwie stronnictwo to złożone z czterech oddzielnych frakcyi: nacyonał-demokratów, radykałów, socyal-demokratów i katolików ukraińskich — jest tylko organizacyą bezdomnych wyrzutków, taką samą, jak bandy chuligańskie w Rosyi. Ta banda hajdamacko-chuligańska na razie wszystkie swoje strzały i oszczepy skierowała w stronę starorusinów, dzięki czemu ataki na nasz naród przycichły. Do walki tej nam mieszać się wcale nie potrzeba. Możemy tylko okazać sympatyę starorusinom i zachętę, aby jak najprędzej bandy chuligańskiej z terenu galicyjskiego się pozbyła.

Napiętnowaliśmy wczoraj na tem miejscu pewną grupę ludzi z obozu konserwatystów za wielce szkodliwą działalność tych ludzi w Wiedniu w kwestyi ugodowej między Kołem polskiem a klubem ludowców. Dziś, aczkolwiek z przykrością, zmuszeni jesteśmy powrócić do tej bardzo nie miłej sprawy i napiętnować raz jeszcze działalność konserwatystów, jako nie licującą absolutnie z powagą i znaczeniem tej frakcyi w dziejach parlamentaryzmu austryackiego.

Konserwatyści bardzo sobie zaszkodzili w opinii publicznej.

Ich sojusz z ludowcami podczas wyborów do Sejmu trzeba uważać nie jako czyn wynikający z pobudek ogólnego dobra narodowego, ale z pobudek czysto partyjnych. Bo gdyby był zachodził ten pierwszy wypadek, to niewątpliwie konserwatyści nie byliby się opierali wstąpieniu ludowców do Koła. Drugi bardzo znamienny i wysoce uchybiający konserwatystom fakt:

Konserwatyści namawiali posłów demokratycznych do odrzucenia żądań ludowców.

To już przechodzi nietylko wszystko, co zwykliśmy określać taktem, ale graniczy wprost ze złą wolą. Konserwatyści zrozumieli, że w razie gdyby im się udało niedopuścić do wzmocnienia Koła, szeregami posłów ludowych, odium spadłoby na nich. A tego konserwatyści chcą uniknąć i zwalić pozory winy na demokratów. To bardzo nieładnie, to wcale nie po rycersku! A przecież konserwatyści wywodzą swoje rody z rycerskiego stanu. Mamy jednak nadzieję, że demokraci wszelkich odcieni łącznie z posłami stronnictwa ludowego, wytężą wszelkie siły, aby rozpoczętą tak chwalebnie rzecz do skutku doprowadzić. Również pozwalamy sobie mieć nadzieję, że i w gronie konserwatystów, nie brak przecież ludzi uczciwych, którzy zawrócą swych kolegów zawczasu z błędnej drogi i przestaną się bawić w politykę dla narodu naszego w wielkiej mierze szkodliwą.

Rokowania pomiędzy Kołem polskiem, a klubem ludowców są w pełnym toku i mimo uporu kilku jednostek konserwatywnych, fuzya nastąpi niewątpliwie w najbliższych dniach. Fakt ten utoczy wiele żółci rozmaitym antynarodowym żywiołom, czem z góry się już cieszymy. Solidarne, potężne Koło polskie odeprze skutecznie każdy atak na nasz naród wykonany nietylko ze strony drobnych band politycznych, ale i odparuje również zamachy choćby takich kolosów jak Krzyżacy.

To mamy wszyscy dzisiaj na ustach. To jest kwestyą bieżącą dnia. Oby jak najprędzej czuć się w sile i począć działać, działać powoli, systematycznie i wytrwale, zyskując z każdym dniem coś dla narodu i w każdym dniu o sobie powiedzieć

Nulla dies sine linea!

W Dumie rosyjskiej z okazyi debaty nad budżetem synodu, wystąpił polski poseł Dymsza i napiętnował

działalność Synodu prawosławnego w Królestwie.

W guberniach: siedleckiej i lubelskiej jest za dużo parafij prawosławnych. Duchowni prawosławni mają mało roboty, zajmują się też przeważnie polityką. Szkoły parafialne cerkiewne prowadzą propagandę polityczną. Działalność synodu w Królestwie Polskiem skierowaną jest przeciw interesom polskim, narodowym i religijnym. Dlatego stronnictwo mowcy wobec synodu zachowuje się odpornie, ze względu jednak na to, że w budżecie synodu znajdują się wydatki, konieczne na potrzeby religijne, Koło polskie nie uważa się za uprawnione do głosowania przeciw budżetowi synodu i wstrzyma się od głosowania.

Mowa ta wywołała namiętną opozycyę ze strony posłów rosyjskich. Poseł z Żytomierza, Berezowskij, wystąpił gwałtownie przeciw katolicyzmowi, i prosił Dumę o obronę Chełmszczyzny. To wywołało olbrzymie oklaski na prawicy.

Wśród ziemian niemieckich

w Poznańskiem

budzi wielki niepokój przygotowana przez rząd nowa ustawa wyjątkowa, skierowana przeciw polskim bankom parcelacyjnym. Oczywiście, Niemcom tym nie idzie wcale o interesy polskie, lecz o straty, na które naraziłaby ich samych nowa ustawa antypolska. Obawiają się oni, że ograniczenie działalności polskich banków parcelacyjnych doprowadziłoby do zastoju w handlu ziemią i do obniżenia się cen ziemi. Po upadku tych banków, ziemiaństwo niemieckie stałoby się zupełnie zależne od komisyi kolonizacyjnej, która sama, przy pomocy wywłaszczenia i swoich instytucyj pomocniczych, normowałaby ceny ziemi.

Celem założenia manifestacyjnego protestu przeciw zamiarom rządu, ziemianie niemieccy z W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich zwołują się na wielki wiec w Bydgoszczy.

„Żelazny kanclerz nr. 2“; Bülow ma — według pism włoskich — odbyć dłuższe konferencye z papieżem zarówno w kwestyi polityki zagranicznej, jak i spraw wewnętrznych Prus, a więc i kwestyi antypolskiej.

Jesteśmy bardzo ciekawi, z jaką miną wyjedzie nowożytny krzyżak z wiecznego miasta.

Ze świata finansowego.

Galicyjska Kasa zaliczkowa we Lwowie pod dyrekcyą posła sejm. dr. G. Adama wydała za rok 1907 sprawozdanie zamykając temsamem siedmiolecie swego istnienia. A był to czas ciężkiej próby ogniowej, kiedy kasa nie rozporządzając jeszcze potrzebnemi środkami obrotowemi nie mogła w chwilach najcięższych rozwinąć agend Towarzystwa w takiej mierze, jakby to w stosunkach i czasach normalnych było wskazanem i naturalnem.

Mimoto jednak w tym krótkim czasie jak rzadko która instytucya podobnego pokroju, potrafiła sobie zdobyć w szerokim zakresie zaufanie, będące najwymowniejszym dowodem, iż instytucya ta posiada wszelkie warunki poważnego nadal rozwoju.

Obraz rozwoju Kasy w roku sprawozdawczym cyfrowo przedstawia się następująco: Liczba członków do dnia 31. grudnia ub. r. wynosi: 3.833 osób. Liczba udziałów wzrosła do ilości 9.207 o kapitale 2,393.820 K.

Udziałów nieobciążonych zaliczkami miała kasa 3.942, na które wpłacono 614.770 K 86 h. Stan wypłaconych pożyczek wynosił z końcem 1907 r. ogółem 7,660.236 K 23 h, od założenia zaś kasy wypłacono w łącznej sumie pożyczek w sumie 16,184.494 K 30 h.

9

H. SMYTH.

STRASZNA GOSPODA

Powieść z angielskiego.

Zwłoki lady Chauntry położyli torfiarze do porządnej trumny i przynieśli ją do Chauntry House. Dla czego to uczynili, i skąd wzięli na to pieniądze, nikt nie pytał wcale. Ponieważ sir Feliks był nieobecny, Dove zajął się pogrzebem, który odbył się z przepychem przy udziale licznych tłumów, złożonych z mieszkańców tej wsi i sąsiednich.

Wszyscy żałowali bardzo lady Elleny, bo ogólnie miłowaną była i szanowaną. Dla biednych, dla cierpiących, dla chorych była zawsze aniołem stróżem, gdy kto udał się do niej w zakłopotaniu i smutku, powracał z rozjaśnioną twarzą, nikomu nie szczędziła grosza ani słów pociechy. Wśród nocy ciemnej, wśród niepogody i burzy spieszyła z lekarstwem, z ciepłą strawą w najodleglejsze miejsca, do najuboższej chatki, nie czuła wstrętu pańskiego na widok nędzy bliźnich, lecz łagodziła ją i słodziła własną ręką.

Po pogrzebie pozostała jeszcze ważna sprawa do załatwienia a to otworzenie testamentu zmarłej lady.

Wiadomość o śmierci lady Elleny została przyjętą przez krewnych i przyjaciół wcale obojętnie, przeciwnie zaś wiadomość, że we czwartek 26. marca odczytany będzie jej testament, zwabiła rychło do Chauntry House krewnych, wychudłych i jak kruki żarłocznych. Zanim zaświtał ów czwartek, przyszedł list od sir Feliksa. Był on — jak opowiadano sobie na ucho — adresowany do mr. Dove'go a napisany przez sir Feliksa z Paryża, i zawierał ubolewania jego nad śmiercią przedwczesną małżonki, jakkolwiek baronet przygotowany był na podobne nieszczęście. — Nadmieniał dalej, że zmuszony jest jakiś czas jeszcze spędzić za granicą, celem ścigania pewnej osoby, którą podejrzewa o uprowadzenie jego dziecka. W końcu prosił mr. Dove'go, by ten zajął się wszystkiem i zarządził majątkiem zmarłej stosownie do jej woli ostatniej.

Wszystko to zdawało się na pozór bardzo stosownem, zacnem i uznania godnem, i gdy we czwartek rano mr. Dove przeczytał list zgromadzonym krewnym, a przeczytał go po mistrzowsku, spłakali się poczciwcy rzewnie z współczuciem krokodyla, ubolewając nad losem swej zdobyczy.

Kobieta zamężna może tylko w takim razie robić testament za życia męża, gdy majątek przypadł jej w spuściźnie po rodzicach i jest pod absolutną jej dyspozycyą. Inaczej się rzecz miała w tym wypadku niezwykłym, przeto budził wysokie zajęcie i ciekawość obecnych.

Zgromadzeni następujący krewni byli: Master i mistres Lake, master i mistres Bonham, pokrewni w pierwszym stopniu, miss Blough w drugim, i master John Quilpington, wujaszek, adwokat z profesyi, i tem samem naturalny przeciwnik mastra Dove'go.

Ten Jon Quilpington był oryginałem w całem tego słowa znaczeniu. Wysoki zaledwie pięć stóp, chudy był jak deska, włos miał czarny, u rąk długie, cieniutkie palce, szerokie i grube nogi, oczy niespokojnie biegające bezustannie, garbaty nos i usta wcale nie stosowne do reszty twarzy, bo, małe i pulchne jak u kobiety.

Usta te składały się bardzo często do śmiechu, atoli do śmiechu nie tajemniczego i odtrącającego, jak to zwykłem było u mastra Laurence'a Dovego, lecz przyjacielskiego i dobrodusznego, który mimowoli usposabiał każdego jak najlepiej dla mastra Johna. Dove mógł uśmiechać się zawsze, na zawołanie, choć w sercu jego gorzał płomień szatańskiej nienawiści. Przeciwnie Quilpington, jakkolwiek na pierwsze wejrzenie surowy i szorstki, mógł się śmiać tylko wtedy, gdy uczucie rzetelnej radości i wesela zabłyszczało mu w duszy.

Gdy zjawił się mr. Dove, oczekujący go krewni siedzieli w salonie gościnnym i wszyscy prócz Quilpingtona spokojnego i pewnego siebie, doznali jakiejś drżączki nerwowej. Mr. Laurence przystąpił do stołu i z zachowaniem wszystkich formalności począł otwierać sfałszowany dokument, podczas gdy Quilpington patrzył w dół obojętnie, a reszta krewnych z bicem serca i zapartym oddechem oczekiwała końca ceremonii.

Odczytanie testamentu nie trwało długo, bo spisany był krótko i węzłowato.

Zmarła przekazywała swemu synowi Henrykowi Chauntry cały swój majątek, i mianowała sir Tracego Harcourt Hall w Yorkshire, opiekunem i zawiadowcą tegoż majątku aż do pełnoletności spadkobiercy.

Kuzynom i kuzynkom zapisała każdemu po sto funtów, a wujowi Johnowi Quilpington wyjątkowo dwieście. O mężu jako sir Feliksie Chauntry nie było ani wzmianki. Szanowne kuzynowstwo nie posiadało się ze złości na te postanowienia testamentu, według ich przekonania nawet obrażające godność — bladło i czerwieniało na przemian, tłumiąc w sobie niestosowny wybuch gniewu. Przeciwnie John Quilpington nieokazał najmniejszego wzruszenia lub zdziwienia, jak gdyby był się spodziewał takiego rezultatu, i z ironicznym tylko uśmiechem zbliżył się do stołu.

— Pozwól pan — rzekł biorąc testament do ręki — pozwól pan! Ach, mr. Dove, pan nie pojmujesz, jak to raduje serce, gdy się ma tak wielkie dowody pamięci i serce swych krewnych!

To mówiąc, oglądał bacznie z udaną obojętnością podpis dokumentu. Potem zwrócił zwrok badawczy i do głębi przeszywający na adwokata; wzrok któryby u każdego innego człowieka wywołał niechybnie rumieniec pomieszania i zakłopotania, ale nie u Mr. Dovego, przywykłego już i oswojonego z podobnym atakiem. W odpowiedź niejako zwrócił się z współczuciem do Quilpingtona i rzekł:

— Tak, to bez wątpienia jest nader przyjemną rzeczą, i cieszy mię niewymownie widok, jak chętnie i radośnie przyjąłeś pan legat nieszczęśliwej kobiety, której śmierć przedwczesna stała się przyczyną naszej bytności i czynności smutnej w tem miejscu.

(C. d. n.)

Fundusz rezerwowy wraz z ogólnym funduszem strat wzrósł w roku sprawozdawczym do sumy 87.994 K 88 h, wraz zaś z rezerwami poszczególnych sekcyj wynosił: 108.994 K 88 h.

Ogólny obrót kasowy w r. 1907 wynosił 53,339.202 K 89 h, kapitał obrotowy 8,701.709 K 1 h, koszta administracyi 63.465 K.

Z ogólnego zysku w kwocie 988.242 K 1 h przeznaczono 5.000 K na subwencye dla rozmaitych instytucyj a to:

Na fundacyę jubileuszową „Kasy“ 2.000 K, Towarzystu szkoły ludowej 300 K, Macierzy śląskiej 300 K, na bursę ludową we Lwowie 500 K, na bursę rzemieślniczą im. Michalskiego we Lwowie 500 K, na bursę im. Dekerta 100 K, na bursę ludową w Drohobyczu 100 K, na bursę ludową w Zaleszczykach 100 K, dla kolonii leczniczej w Rymanowie 200 K, Tow. zabaw ruchowych 100 K, „Sokołowi Macierzy“ 100 K, Bratniej pomocy słuchaczów uniwersytetu 200 K. Bibliotece publicznej T. S. L. we Lwowie 500 K.

Intryga dyplomaty.

II.

Jack Green, lub też, jak się odtąd miał nazywać John Smith, wybąknął kilka słów podziękowania i opuścił mieszkanie Cromwella w tem przekonaniu, że nie tylko szczęśliwie uniknął stryczka, ale nadto stał się posłannikiem ważnej misyi politycznej, bo nie wypił ani na chwilę, że zadanie jego jest intrygą dyplomatyczną, od której może losy całego kraju zawisły. Chętnie byłby przeczytał powierzony sobie i na podrzucenie przeznaczony list, jednakże nie śmiał tego uczynić, obawiając się, że sekretarz Cromwella, który mu miał do Madrytu towarzyszyć, mógłby po drodze zażądać od niego listu i po jakimkolwiek tajnym znaku poznać, czy go kto nie rozkładał. Perspektywa stryczka oddziaływała na niego tak mile, że nie miał najmniejszej ochoty narażać się powtórnie na ten sam los, jakiego co tylko uniknął.

Gdy John Smith wieczorem tego samego dnia udał się na okręt, kazał go kapitan zaprowadzić do kajuty, gdzie go oczekiwał sekretarz Cromwella, człowiek niskiego wzrostu i dość niepozornej postaci; podróżował on pod przybranem nazwiskiem „mister Blackburn, reprezentant firmy Cornwall & Comp.“ Po oddaleniu się kapitana, mister Blackburn wręczył Greenowi papiery legitymacyjne i podał mu wskazówki jego dalszego zachowania się.

— Czytałeś pan list powierzony sobie przez mylorda?

— Nie sir — odparł Smith patrząc sekretarzowi śmiało w oczy — nigdybym się nie odważył łamać tajemnicy listu, nie będąc do tego upoważnionym.

— Postąpiłeś pan bardzo słusznie, bo mylord nie życzy sobie, aby treść tego listu dostała się do wiadomości niepowołanych osób. Jest to zresztą list prywatny hiszpańskiego sekretarza dworu Cedenesa; zdaje się, że w czasie gdy Cedenas był posłem na dworze londyńskim, list ten musiał zgubić lub przez zapomnienie gdzie zostawić. Byłoby teraz najprostszą rzeczą odesłać mu pocztą jego zgubę, jednakże mylord nie chce się zdradzić, że zna treść powyższego listu i dlatego woli mu takowy podrzucić, aby go utrzymać w tem mniemaniu, że tego listu nikt obcy nie miał w ręce. Zrozumiesz pan zatem, że należy w tej sprawie postępować bardzo ostrożnie; w tym celu muszę pana obznajomić z niektóremi nawyknieniami sekretarza Cedenasa. Rano krótko po ósmej godzinie przychodzi on do wiadomego panu pokoju, aby przeglądnąć nadeszłe listy i referować o nich królowi, który około dziesiątej godziny tamże się zjawia. Z tego wynika, że czas między godziną siódmą i ósmą rano byłby najdogodniejszym do wykonania zamierzonego planu. Zresztą trzymaj się pan ściśle wskazówek udzielonych mu przez mylorda. Listu nie powinieneś pan kłaść na stół, tylko rzucić pod biórko, jednakże w takim miejscu, aby wchodzącemu do pokoju w oczy podpadał. Cedenas będzie zatem sądził, że list ów wyleciał mu z biórka lub z kieszeni i pozbawi się tych podejrzeń i nieufności względem nas, jakie nim ciągle miotają. Czy możemy liczyć na to, że zadanie swoje spełnisz pan zręcznie i niespostrzeżenie?

— Najzupełniej, sire; jestem przekonany, że mylord będzie ze mnie całkiem zadowolony.

— W takim razie porozumienie się nasze byłoby całkowitem. Będę panu towarzyszył aż do Madrytu, a stamtąd udam się do Wenecyi, aby poczynić dalsze kroki, tejże samej sprawy dotyczące.

Na tem skończyła się rozmowa obu wysłanników lorda protektora. Rzecz naturalna, że sekretarz Cromwella starał się Greena co do istoty i celu, jakie się z tym tajemniczym listem łączyły, w błąd wprowadzić.

Ten ostatni jednakże nie troszczył się o to i postanowił poleconą mu misyę spełnić z całą sumiennością.

*

Dnia 5. grudnia 1654 wysłannicy Cromwella przybyli do Madrytu. Blackburn zaprowadził Greena do gospody utrzymywanej przez pewnego Anglika na ulicy Calle de Atocha, a upomniawszy go jeszcze raz, aby ostrożnie postępował, pożegnał się z nim i udał się w dalszą podróż do Wenecyi.

Zanim Green przystąpił do wykonania swej misyi, wypytał się pierwej gospodarza, czy król bawi w Madrycie i jakie są jego dzienne zajęcia. Między innemi otrzymał za odpowiedź, że Filip codzień rano o godzinie dziewiątej udaje się do czerwonej sali, aby przeglądać tamże akta państwowe, a dopiero w godzinę później, każe wołać do siebie Cedenasa, sekretarza dworu, aby wspólnie z nim załatwiać sprawy bieżące.

Z tych informacyj Green wywnioskował, że ów tajemniczy list nie Cedenasowi, tylko królowi miał wpaść w ręce.

Przez cztery dni obchodził parkan, otaczający ogród królewski i nadaremnie szukał sposobności do wykonania tego, co mu polecono. Nareszcie w nocy z dnia 10. na 11. lutego zakradł się do czerwonej komnaty i podrzucił list pod biurko. W tydzień później znajdował się już w drodze do Anglii.

List ów, jak Cromwell przewidywał i jak też sobie tego życzył, dostał się w ręce króla. Ponieważ jednak był on pisanym w języku angielskim, więc Filip jego treści nierozumiał i intrygował go tylko podpis u dołu „Olivier Cromwell“. Ta ostatnia okoliczność, była już wystarczającą, aby obudzić w nim podejrzenie i nieufność do jego sekretarza. Obciążającą okolicznością i to się królowi wydawało, że Cedenas zapewniał go zawsze, iż nie pozostaje z Cromwellem w żadnych stosunkach, podczas, gdy znaleziony pod biurkiem list, adresowany był do Cedenasa. W pierwszem uniesieniu chciał Cedenasowi list pokazać i żądać wyjaśnienia tej ciemnej sprawy; namyśliwszy się jednak, postanowił działać ostrożnie i przebiegle. To też, gdy jego sekretarz w sali się zjawił, Filip niczem się nie zdradził, że przyszedł w posiadanie tak zagadkowego dokumentu; odrabiał codzienne sprawy państwowe i załatwiał je ze zwykłym sobie spokojem. Tymczasem fatalny zbieg okoliczności sprawił, że Cedenas cierpiał tej nocy na kurcze żołądkowe, które go już od wielu lat dręczyły; po nieprzespanej nocy i przebytych cierpieniach, wyglądał blado i miał zapadnięte głęboko oczy, co Filip tłumaczył sobie znowu wyrzutami sumienia i niepokojem o zaginiony list. Okoliczność ta utwierdziła go jeszcze bardziej w jego podejrzeniu i postanowił w tajemnicy dochodzić tego, w jakim związku pozostaje Cedenas z Cromwellem.

Po załatwieniu poczty, pożegnał Cedenasa i kazał zawołać do siebie dwóch najbardziej zaufanych powierników: ojca Officyała, nadwornego spowiednika, i Ludwika de Haro, ministra państwa. Wzburzonym i podniosłym tonem oznajmił im, że ma wszelkie powody, wątpić o wierności i przywiązaniu Cedenasa do kraju i do dynastyi, ponieważ tenże prowadzi tajne machinacye z Cromwellem, najzagorzalszym wrogiem Hiszpanii.

— Sire — odezwał się minister Haro — oskarżenie podniesione przez Jego królewską Mość, jest niezmiernej doniosłości i każdemu innemu, na podobny zarzut ośmieliłbym się odpowiedzieć, że niepodobna mi w coś podobnego uwierzyć, niemając nato niezbitych i całkiem pewnych dowodów.

— Także i ja jestem tego zdania, sire — wtrącił z namaszczeniem spowiednik. — Znam Cedenasa nietylko jako wiernego wyznawcę naszego Kościoła, ale i jako dobrego syna Ojczyzny. Z Cromwellem mógłby on się znosić tylko listownie, a wszystkie listy Cedenasa przechodzą przez moje ręce.

(Dok. nast.).

3 pokoje do wynajęcia.

Z moim pokojem graniczy przez drzwi większe mieszkanie złożone z 3 pokoi z przynależytościami. Dwa tygodnie stało puste, jakkolwiek zwiedzali je różni amatorzy, aż wczoraj — słucham — jakaś para małżeńska ogląda pokoje i prowadzi tuż pod memi drzwiami następujący dyskurs:

— Za wielkie dla nas — mówi głos męski — nam przecie dwa pokoje wystarczą, i nie będą tyle kosztowały.

— Mój drogi — odzywa się nato głos kobiecy — pozbądźmy się już raz tej małostkowości, że to za drogo, a tamtego niepotrzeba, a bez owego można się obejść i t. d. W ten sposob my nigdy niewybrniemy z naszej plaskości życia, zostaniemy wiecznie takimi zerami, bez znaczenia, bez zwrócenia na siebie uwagi.

— Ale pocóż nam trzy pokoje?

— Poco! poco! Ja już o tem myślałam i mówię ci, że to się przyda. Najpierw znajomi będą się na nas zupełnie inaczej patrzeć, gdy się dowiedzą, że mamy trzy pokoje...

— Ależ to nikomu nie imponuje!

— I owszem, nawet bardzo imponuje. Ta głupia Karolowa ile razy mnie spotka na ulicy, to się nademną lituje, że źle wyglądam, bo — powiada — kto się tak jak pani dusi w dwóch pokojach...

— Kiedy my ani mebli do trzeciego pokoju niemamy.

— To też i niepotrzebujemy mieć, bo się ten pokój wynajmie i jeszcze zarobimy na tym interesie.

— Kto wie, co za lokatora dostaniemy...

— Otóż właśnie! Kto wie, co za lokatora dostaniemy — może to będzie jaki kawaler, który się oświadczy o naszą Henię...

— Co ty pleciesz!

— Albo stara panna, którą będziemy pielęgnować i ona zapisze nam zato swój majątek...

— Ależ Maniuś!

— Albo jaki dygnitarz, który dopomoże ci do awansu...

— Rany boskie!

— Albo inne jakie szczęście zrobimy na naszym lokatorze. Już ty się zdaj na mnie, ja lada komu tego pokoju niewynajmę. A niepamiętasz Bisińskich, co to urzędnik kolejowy u nich mieszkał, a gdy się wyprowadził, zostawił w biurku pąręset koron...

— Które Bisińska sobie przywłaszczyła i o mało do kryminału nie poszła!

— Ale jednak nie poszła! — zawołała z uporem kobieta. — Ja ci mówię, nie wtrącaj się ty w moje plany, tylko bierz mieszkanie, a reszte mnie zostaw...

Dalszy dyskurs, bardzo charakterystyczny dla pewnej kategoryi naszych kobiet, przerwało nadejście gospodarza. Jako finale słyszałem, że ciekawa ta para małżeńska złożyła na mieszkanie zadatek, a 15-go bm. ma się sprowadzić.

Niema dębu — będzie kolumna!

W roku 1898 staraniem komitetu miejscowego, zajmującego się uroczystym obchodem stuletniej rocznicy urodzin wieszcza narodu, wielkiego Adama, zasadzono na rynku w miasteczku Żydaczowie tuż naprzeciw parafialnego kościoła pamiątkowy dąb.

Cała ludność polska Żydaczowa i okolicy, brała w tej uroczystości udział; zarówno spracowane dłonie włościan, jak i pań w rękawiczkach, rzucały garście ziemi w dół wykopany, niejedna łza upadła wówczas na miodę pędy dębczaka, a wszystkie serca biły zarówno silnie i gorąco w miłości i ukochaniu dlatego, **c o b y ł m i l i o n e m n a r o d u, i c i e r p i a ł z a m i l i o n y!**

I rósł sobie dąb, troskliwą ręką mieszczan pielęgnowany. Dano mu ogrodzenie stosowne — postawiono obok niego płytę kamienną ze skromnym napisem: 1798—1898.

Minęło lat dziesięć; — dębczak urósł i... zdziwiony patrzeć zaczynał na to wszystko, co się koło niego działo.

Nie mógł zrozumieć tego, skąd się wzięła w cichej mieścinie jakaś hajdamaczyzna — nie mógł pojąć on z miłości i pamięci dla wieszcza narodu zasadzony — dlaczego **B r e i t e r** właśnie w cieniu jego sieje wyborcze nienawiści i propaguje socyalizm czerwony.

Dumał nad tem wszystkiem i nieraz trząsł się z oburzenia — gdy słyszał obok siebie rozmowy cicho prowadzone, że dobrze przecie byłoby tego świadka polskości miasta uśmiercić. — Byłby się może bronił, gdyby mógł i umiał, byłby krzyczał: ratunku, gdyby mógł przemówić.

Milczał i cierpiał.

Aż oto przyszła doń w ciemną noc rocznicy zwycięstwa racławickiego zbrodnicza ręka — i podcięła jego pień.

Runął, jęknąwszy głucho!

Zbrodniarze uszli, lecz jęk padającego drzewa, wstrząsnął powietrzem, a konary zamordowanego uderzywszy o dzwony bliskiej dzwonicy jęk ten poniosły dalej.

Zbudziły się od niego serca i dusze polskie Żydaczowa, drgnęła nuta serdeczna w każdej uczciwej piersi, na widok spełnionej zbrodni.

„N a m i e j s c u z a b i t e g o d r z e w a, s t a n ą ć m u s i g r a n i t, g r a n i t t a k s i l n y i p o t ę ż n y, a ż e b y s i ę n a z a w s z e o p r z e ć m ó g ł w s z e l k i m z a k u s o m z b r o d n i c z y m, z a w o ł a l i ż y d a c z o w i a n i e! G r a n i t w m i e j s c e d ę b u, n i e c h a j b ę d z i e w i d o m y m z n a k i e m, n a s z e j c z c i d l a w i e s z c z a a z a r a z e m p o g a r d y d l a d z i c z y d w u d z i e s t e g o w i e k u“.

Myśli tej redakcya „Gońca“ przyklasnąć tylko może, a chcąc co rychlej wprowadzić ją w czyn ofiaruje ze swej strony **k w o t ę 20 K**, jako pierwszy datek na ten cel.

Nie wątpimy, że ofiarność publiczna dopomoże rychło do ustawienia pamiątkowej kolumny Adama na rynku żydaczowskim.

Datki na ten cel można przesyłać do redakcyi naszej, ulica Zimorowicza l. 17.

Stanisław Tokarski.

Po „szperce“.

(Z cyklu: Lwów w nocy).

Skoro mieszkaniec nadpełtwiańskiego grodu zapragnie spokoju i ciszy i trochę lżejszej atmosfery po pełnem bakcyli i przeróżnych nieczystości powietrzu, to sprawiwszy sobie (bo nędza i drożyzna jest teraz) najzwyklejszy bilet trzeciej klasy wagonowej ck. austryackich kolei państwowych, jedzie do Krakowa, Bombaju, Kulikowa, Sorrento, Zakopanego, Brzuchowic a przenigdy, na Herkulesa, nie zostanie we Lwowie. Bo tu w dzień jest hałas i urąganie cichemu spokojowi, spokojnego obywatela.

Lecz w nocy?

Per Baccho, człowiek, który chciałby spać, bo zmęczony jest i spracowany a mieszka w śródmieściu, spać nie może, tylko paznokcie będzie gryzł z wściekłości i złorzeczyć będzie wszystkim porządkom i wszystkiemu, co we Lwowie jest. A jakże!

Dziesiąta godzina. Po „szperce“ już. One stróże, cerbery kamienic, na podaż czynszową budowanych, skwapliwie pozamykały bramy i poznikały w suterynach, kędy się krzewi wszelka hygieniczność... a na ulicy dopiero zaczyna się gwar.

Mieszkam na odnodze, bocznej uliczki, zakrętu jednej z pierwszorzędnych arteryi śródmieścia lwowskiego. Ni mniej, ni więcej są na niej 3 szynki (to nic, bo szynków we Lwowie tyle, co kandydatów na radnych miejskich). Jeden z nich ma damską kapelę, drugi gramofon, a trzeci tapera, który jest jak pozytywka i przez całą noc gra za 2 korony bez przerwy i bez wytchnienia. Z szynków tych idą gwary i hałasy potworne, że niczem zbiegowisko „towarzyszy“, biją się tam i piją, godzą i znowu piją. Obserwuję ulicę, jako, że mi się „melankolia i sentyment a smętek na żałośliwą duszę kładzie“ (takby powiedział Sienkiewicz).

Ze szynku tego, gdzie gra taper, wyszedł jegomość jakiś, który na odległość kilometra zieje propinacyą a nos ma podobny lampce elektrycznej, zabarwionej na czerwony fiolet. Opiótł trzepocącemi się rękami i nogami słup latarniany i śpiewa do niej:

„Wy-y-smukła jak topo-ola,
co w polu sto-oi tam,
ten szyk, ta gra-acya ca-ała
to wdzięk, to urok sam.

A że głos ma trochę zachrypnięty i śpiewa jak trąba od taniego opału, a przerywa mu śpiew czkawka, więc podobien jest rozstrojonemu fortepianowi, który „gra“ pieśń do gwiazdy z Tannhäusera. Potem widać, że mu się to nie spodobało, zaczął na raźniejszą nutę:

Na ulicy Kopernika
stoi panna bez bucika
na ulicy Łyczakowskiej
wszystkie panny...

Tu zachwiał się, zabalansował i utonął mi gdzieś niepostrzeżenie, nie wiem, czy w rynsztoku, czy w bocznej uliczce.

Następnie przyszedł jakiś młodzian blady, o długich włosach, natchnionem głupkowato obliczu. Pewno jakiś literat. Stanął pod latarnią i zaczął deklamować z patosem:

„Sam tu na miejskiej ulicznej scenie,
na proch się wielka myśl ma skru-
[szyła,
boć mię i rozpacz hen, w dale żenie...
dziś się ma dusza wódką upiła.

Pewno go zęby bolały i dlatego tak krzyczał. A może puścił ostanią koronę? A może za ciasne miał buciki?

Bostonowe zataczając koła, znikł gdzieś na zakręcie.

Nadszedł trzeci. Ten już nie śpiewał, nie krzyczał, lecz wył formalnie. Na szczęście pijacki ryk jego doszedł do uszu policyjnego półksiężyca, który zbudzony ze snu pod rynną, zerwał się jak wściekły i podbiegł do wyjącego młodzieńca:

— Panie, niech pan takiego waryanta z tryjatru nie macha, bo zaharetyruję. Albo niech pan si rozejdzie, bo ja jezdem znerwowany.

I umilkł młodzieniec ów, dyetaryusz pewno albo czeladnik od fryzyera.

Potem szło jakieś małżeństwo i kłóciło się, następnie szli jacyś starzy knajpiani wyjadacze i śpiewali:

„Gaudeamus igitur
juvenes (!?) dum su mus!...“

Potem znów szło całe towarzystwo a na przodzie: On i Ona. Szli w mistycznem zamyśleniu przerywanem zapałami, od czego mi się na sercu aż nie dobrze robiło.

On cicho nucił:

Pójdź luba siądziem we dwoje,
czar walca popłynie nam w dal;
i pierzchną już precz niepokoje...

— Panie, nie tak blizko, bo coś czuć od pana! A zresztą spytaj się pan mamy.

Poszli ci wszyscy a zaraz zaczął jechać z turkotem, hurgotem, wrzaskiem i trzaskiem wóz magistracki, który wydaje taki niepach, jak kanały całego świata a tłucze się po bruku tak cholerycznie, że człeka ogarnia pasya wyskoczyć z okna i utopić się w głębokościach Pełtwi. Na szczęście przejechał, zionąc nie do zniesienia fetorem. Potem rozmawiali policyanci o polityce, gramofon ryczał, w szynkach pijatyka stała się piekłem, na odnodze bocznej uliczki, zakrętu jednej z pierwszorzędnych arteryj lwowskich powstał taki hałas, wrzask i krzyk, że czemprędzej wybiegłem z mieszkania i poszedłem, do „Secesyi“ na kawę. Klnąc pod nosem ludzi, szynki, bruki, magistrat, słowem cały Lwów. *(d).*

Leib Schmalfeld.

Wstępuję do szynku po papierosy. Zamiast odurzającego odoru spirytusowego panuje w nim dość znośne, świeże powietrze, bo właśnie jakaś umorusana dziewka pootwierała i myła okna, tak już brudne i nieprzeźroczyste, że niektóre tafle za blachę uważać można było.

— Wiosna, panie Schmalfeld, co? — odzywam się do szynkarza.

Ten pokiwał smętnie głową i rzekł z rezygnacyą:

— Nu, co robić?

— Pana ta wiosna nie cieszy, hę?

— Każdego to cieszy, z czem mu dobrze. Gdyby ja był Pan Bóg, to jaby dla szebi zrobiał, aby była wciąż zima.

— Więc pan w zimie robi najlepsze interesa?

— A kiedy, jak nie w zimie? W zimie to ja mam już od piąty popołudniu pełno gości. Uni są zmarznięte, to uni duży piją wódki i krupniku i herbaty, a szedzą u mnie, bo co na polu robić? Teraz to on kupi sobie chleba i syra albo kiełbasy i idzie do roboty, a do szynku już rzadko przyjdzie, bo jest zmordowany, to un chce iść spać.

— Ale w zimie ludzie niemają tego zarobku, co w lecie. A gdy mało pieniędzy między ludźmi, to i dla pana gorzej.

Żyd potrząsnął głową.

— Ni. Niech bedzi mało, ale niech każdy to mało przyniesi tu, to ja będę miał dużo. A jak jest dużo, a do mnie z tego dużo nikt ani mało nie przyniesi, to co mi z tego, co?

Tym matematycznym wywodem zakończył Schmalfeld swą prelekcyę o przemyśle szynkownianym, a w oczach jego malował się ciągle jeszcze żal, czemu on nie jest Panem Bogiem, któryby zimę robił przez dwanaście miesięcy i miał już od 5-tej popołudniu szynk pełen gości.

Z blizka i z daleka.

(Prima aprilisowy witz. — Honorarya dentystów londyńskich. — Skarb w gorsecie).

Dobry żart prima aprilisowy udał się warszawskiemu „Przeglądowi porannemu“. Przyniósł on następującą depeszę z Berlina: Silne wrażenie sprawiła wiadomość, że kanclerz niemiecki Bülow, ukazał się dziś w parlamencie w stroju szkarłatnym, z toporem w ręku i ze zwojem stryczków na plecach. Posłowie wolnomyślni sądząc, że kanclerz chce zamanifestować czerwoną barwą swoje sympatye dla ideowego radykalizmu, powitali kanclerza burzą oklasków. Niebawem jednak okazało się, że kanclerz uległ silnemu rozstrojowi umysłowemu. Cierpi na urojenie, że jest nauczycielem ludowym w Marchii wschodniej, powołanym na członka komisyi wywłaszczającej.

*

Jak wysokie są honorarya „wyrwizębów“ w Londynie tego dowodem jest świeży proces między drem Richardsonem a właścicielem browaru Fremlinem o kwotę 12.000 koron, jakiej żąda wyż wymieniony dentysta za rwanie zębów żonie oskarżonego. Rozprawa wykryła, że dentyści londyńscy pobierają za swoje funkcye niebywałe wynagrodzenia, a czas swój mierzą na wagę złota. Pokazało się bowiem, że dr. Richardson nie skarży męża swej pacyentki o to, że mu honoraryum nie zapłacił, bo tak w rzeczywistości nie było, tylko oto, że pani Fremlin kilkakroć nie przyszła do niego na zamówione posiedzenie, przez co dentysta, zdaniem swojem znaczną poniósł szkodę. Szkodę tę ocenia oskarżyciel na 2 gwinee (50 kor.) za pół godziny. Zapewnia, że wszyscy lekarze-dentyści w ten sposób obliczają swe wynagrodzenia a jako dowód przytacza, że pewien kupiec za nadprogramowe godziny przyjęcia zapłacił mu 10.000 koron; miał także w spisie swoich klientów jednego z lordów, którego plombowanie i czyszczenie zębów kosztowało ponad 60.000 koron; skoro zaś tenże przychodził na posiedzenia z niewyczyszczonymi zębami, policzył mu dentysta kilkakroć za 5 flaszek wody do płókania po 300 koron. Należność tę zapłacił lord, odebrawszy jednak tę nauczkę, już w następnym dniu pojawił się z czystymi zębami.

*

Stróżka pewnego domu w Paryżu otrzymała od właściciela kamienicy w podarunku gorset, który należał do jego niedawno zmarłej żony. Pewnego razu, chcąc przerobić gorset, który był jej niewygodny, rozpruła szwy i jakież było jej zdziwienie, gdy spostrzegła że pod płótnem gorsetu były zaszyte banknoty 1000 frankowe. Było ich razem 50, co stanowiło piękną sumę 50.000 franków. Stróżka była uczciwą kobietą — i zaniosła gospodarzowi te pieniądze, który się jeszcze bardziej zdumiał. Gdy ochłonął ze zdziwienia przyjął pieniądze i wręczył dozorczyni odpowiednią nagrodę — ale dotąd łamie sobie ciągle głowę, w jaki sposób, żona bez jego wiedzy zyskała tyle pieniędzy i kiedy zaszyła je w swój gorset.

KRONIKA.

Kalendarzyk:

W środę rz.-kat. Dyonizego B. — gr.-kat. Sobor Hawr.

We czwartek rzym.-kat. Maryi Egip. — gr.-kat. Matrony Seł.

Repertuar teatru miejskiego (pod dyrekcyą Ludwika Hellera).

We środę „Bakcyle miłości“.

We czwartek „Żydówka“.

W piątek „Bakcyle miłości“.

W sobotę „Poskromienie złośnicy“.

W sobotę „Aida“.

W niedzielę „Mąż idealny“.

W niedzielę „Faust“.

W Poniedziałek „Gdy umarli obudzimy się“.

MIEJSCOWA.

Przygoda pana Dziendobry. P. Gutentag zaasekurował się w Towarzystwie ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków. Pewnego razu, podczas lekcyi — bo pan Gutentag jest nauczycielem — tak zirytował się postępowaniem jednego z uczniów, że z całej siły uderzył prawą ręką w katedrę. Skutek był nadzwyczajny, bo oto odrazu dotknięty został paraliżem ręki, który pozbawił go możności pracy całkowicie w ciągu dni czterdziestu i częściowo przez dni dziesięć.

Opierając się na opłacanej przez siebie policy, zwrócił się do Towarzystwa ubezpieczeń i zażądał zapłaty 200 złr., licząc po 5 złr. dziennie. Towarzystwo odmówiło z tej głównie zasady, że nieszczęśliwy wypadek nastąpił nie w skutek okoliczności postronnych, od woli p. Gutentaga niezależnych, lecz był następstwem koniecznem własnego jego i to dobrowolnego odruchu, na tle sangwinicznego temperamentu. Zdanie to podzielił sąd, dał nawet nauczkę nauczycielowi, bo w motywach wyroku powiedział, że wychowawca panować powinien nad nerwami swymi, że nie wypada człowiekowi statecznemu walić ręką w katedrę, bo to gest nietylko nie ładny, ale jak się okazuje i szkodliwy. Ale nie daje on prawa do wynagrodzenia od Towarzystwa ubezpieczeń, które przy zawiązaniu umowy asekuracyjnej inne wypadki miało na widoku.

Licytacye. 12-go maja rano w sekcyi I. odbędzie się licytacya realności, przy ul. Torosiewicza l. 11, oszacowanej na 64.966 koron, zaś 25-go maja w sądzie obwodowym w Nowym Sączu, odbędzie się licytacya dóbr Budzyń oszacowanych na 126.400 koron.

Nowe apteki. Po wielu trudnościach wydało namiestnictwo przed kilku dniami 4 koncesye na powstanie nowych aptek we Lwowie.

Pierwsza powstanie przy ulicy Łyczakowskiej, koło św. Antoniego a koncesyę na nią otrzymał p. Jan Lisowski, zarządca apteki w szpitalu powszechnym.

Druga, przy ul. Bema, a prowadzić ją będzie p. Emil Jeżierski, który wpierw przez 25 lat kierował apteką Mikolascha.

Trzecia apteka otworzoną zostanie przy ulicy św. Zofii i Pełczyńskiej, a koncesyę na nią otrzymał p. Antoni Markowicz.

Czwartą aptekę mającą powstać przy ulicy Zamarstynowskiej nadało namiestnictwo p. A. Oberhardowi, współpracownikowi apteki Ruckera.

Rada miejska odbędzie jutro we środę posiedzenie o 6-tej wieczorem. Na porządku dziennym wśród innych spraw: wodociąg do Pasiek, taryfa dla mięsa, sprawozdanie fizyka miejskiego i parcelacya Francówki i i.

Przestroga przed szantażem. Osławiony Emilian Ciesielski, stały ale przymusowy gość inspekcyi policyjnej podający się za „dziennikarza“ i „redaktora“, obchodzi tych kandydatów do Rady miejskiej, którzy umieszczeni byli na liście „Gońca“ i przymawia się im jako redaktor „Gońca“, o datki na koszta agitacyi wyborczej czy coś podobnego.

Prosimy każdego, do kogoby się Ciesielski w tym charakterze i z tą propozycyą zgłosił, aby szantażystę oddał w ręce policyi i nas o tem uwiadomił.

Do Ameryki wyjechał wczoraj znany ekonomista nasz p. dr. Zygmunt Gargas, jako dyrektor krajowego związ-

zku kolonialnego celem nawiązania bliższych stosunków z wychodźcami a głównie celem skierowania kapitałów wychodźców do rodzinnej ziemi. Nie wątpimy, że misya dr. Gargasa, przyniesie dla kraju pod wielu względami pożytek.

Epilog kradzieży w arsenale wiedeńskim. Z Wiednia donoszą. Wczoraj przedpołudniem sąd garnizonowy wiedeński, ogłosił wyrok wydany w sprawie rachunkowego kadeta, zastępcy oficera Ludwika Goldschmieda — który swego czasu w uniformie rachunkowego oficera, obrabował kasę w arsenale. Goldschmied został skazany na 3 lata ciężkiego więzienia, obostrzonego postem i na degradacyę.

Nasz reporter pisze:

Dziś rano, kiedy jeszcze chrapałem w najlepsze, obudziła mnie niesłychana awantura, jaka zaszła w sąsiednim pokoju. Rozumie się zainscenizowała ją moja gospodyni, która bezwarunkowo powinna się nazywać panią Dulską. Owinąłem się w kołdrę i wychyliłem głowę przez drzwi na teren walki. Zdumionym moim oczom przedstawił się obraz bitwy, czy dopiero wstępnych kroków do bitwy ze strony mojej gospodyni, ubranej ledwie w halkę i biały kaftanik. Po drugiej stronie wojującego stanął... kominiarz.

— Nie życzę sobie — woła gosposia wysokiem „c" — aby mi to kominiarze co tydzień robili świństwo w mieszkaniu i brali zato szóstki. Dość, gdy dam szóstkę raz na miesiąc.

— Tyndyryndy — przedrzeźnia kominiarz — podoba mi się, czyścić kominy, to czyszczę, choćby i co dnia. To nasze prawo, a pani dobrodziejka nie może się temu sprzeciwiać. Komin musi być wyczyszczony!

— Mój komin całkiem czysty...

— To wcale nic nie szkodzi, żeby go jeszcze nie czyścić. O szóstkę pani chodzi. Patrzcie ją! Za szóstkę człek musi się tyle namęczyć.

— Ależ panie, idź pan do dyabła. Dla mego komina wystarczy czyszczenie raz na miesiąc. Od tego nie odstępuję i płacić po szóstce więcej nie będę.

Niewiem, jak cała sprawa się skończyła, bo obawiałem się przeciągu i cofnąłem się. Co najsmutniejsze, to to, że o całem zajściu nie wyrobiłem sobie należytego sądu, więc Szanowną Redakcyę publicznie zapytuję, kto miał racyę: moja gospodyni, czy kominiarz?

Tak samo niemogę sobie jasno sformułować sprawy rampy kolejowej na Żółkiewskiem. Węża morskiego widziałem, kaczkę dziennikarską też, nawet gruszki na wierzbie widziałem i mam o nich pojęcie, a o tej bestyi apokaliptycznej z Żółkiewskiego, absolutnie pojęcia nabrać nie mogę. O co tu się rozchodzi? Z jakiej racyi Lwów nie daje ministrowi Derschacie żyć na tym padole płaczu. To istna impertynencya.

Bardzo mnie to smuci, że dziś odbędzie się tak blizko Szanownej Redakcyi, zgromadzenie Banku parcelacyjnego. Łatwo być może, że Bank ten Szanowna Redakcya rozparceluje i co potem, ha? Jabym już wolał, żeby Bank rozparcelował mój stary oberok, który mi już nie jest potrzebny, bo wiosna i zrobiło się trochę ciepło.

Natomiast cieszy mnie inna rzecz. Oto Izraelici, których ja okropnie kocham, nie będą już potrzebowali grawitować do kamienistej Palestyny, gdyż ta Palestyna nie jako żadna „fata morgana", ale rzeczywistość, przeniesie się do Galicyi i przykryje sobą akurat Lwów. Nam przytem jednak nic nie grozi, bo my sobie założymy gminę chrześciańską i będzie nam w niej tak dobrze, jak u Pana Boga za przypiecktem.

Wczoraj znowu jeden ząb zrobił mi małe przesilenie. Poszedłem do jednego dentysty na ul. Sienkiewicza i tam kazano mi przyjść na drugą sobotę, to się z nim zrobi porządek. Mnie się zdaje, że to nie bardzo długo, dwa tygodnie. Cóż wobec wieczności znaczy trzymać dwa tygodnie bolącego zęba?

Jak policya sekuje przemysł krajowy. W ostatnich czasach zaczęły się pojawiać w mieście coraz częściej falsyfikaty koron, 20 i 10 halerzówek, wszelkie jednak poszukiwania fałszerzy były bez skutku. Od kilku dni dopiero zwróciła na siebie uwagę gromadka stałych gości szynku Lublinera, która w głośnej rozmowie, zdradziła nieopatrznie tajemnicę.

Wczoraj aresztowano całą bandę, znaleziono przy niej gotowe falsyfikaty monet, puszczane w kurs a w mieszkaniu Leiby Weinera, przybyłego z Odessy a zamieszkałego przy ul. Smerekowej pod l. 4, znaleziono cały warsztat do odlewania i narzędzia do wykańczania monet. Prócz Weinera, u którego znaleziono 17 falsyfikatów, aresztowano Konstantego Sidorowa, byłego porucznika rosyjskiego z Żytomierza, Szmula Jampolskiego z Kamieńca, Kuźmę Skawiszowa z Witebska i Jędrzeja Ćwika, pomocnika masarskiego ze Lwowa. Cała więc banda fałszerzy znajduje się już pod kluczem.

Z „Sokoła-Macierzy". W piątek dnia 10. bm. o godz. 8 wieczór odbędzie się w górnej sali w gmachu przy ul. Zimorowicza l. 8, przedwyborcze Zgromadzenie członków, na którem członkowie Towarzystwa zechcą się jawić.

Polskie Tow. gimn. „Sokół-Macierz" otworzyło w gmachu swoim przy ul. Zimorowicza l. 8. salę na I. piętrze przeznaczoną na czytelnię, pogadanki i gry towarzyskie. Sala otwarta dla członków codziennie od g. 6 do 10 wieczór z wyjątkiem niedzieli i świąt.

A więc są pieniądze! Wedle przedłożonego przez ministra skarbu zamknięcia rachunków państwowych za rok 1906 wynosił stan państwowych zapasów kasowych z końcem tego roku olbrzymią sumę 707,600.000 koron. Zapasy te rozdzielają się mniej więcej, jak następuje:

W centralnej kasie państwowej znajdowała się w dniu 31-go grudnia 1906 r. gotówka w sumie 202,400.000 koron, w kasie długów państwowych 182 milionów, w rozmaitych urzędach podatkowych 146,500.000, w kasach pocztowych 40,000.000, a w kasach kolejowych 19,500.000 koron.

A więc pieniądze są, tylko porządni ludzie niewiedzą, gdzie ich szukać. Ci mniej porządni, jak Wasiński i inni, są lepszymi finansistami i nawet po ciemku znajdują drogę do różnych kas podatkowych lub sądowych.

Pod adresem tramwaju. Mimo pięknej, wiosennej pory, pierwsze wozy tramwaju elektrycznego ze stacyi końcowych na ul. św. Zofii i Łyczakowskiej odchodzą dopiero o 7-mej godzinie rano. Tymczasem dzięki wczesnej wiośnie, już o 6-tej godzinie spieszy mnóstwo robotników na przedmieściach mieszkających do pracy i do zajęć w mieście, i tramwaj elektryczny byłby dla niejednego, komu na czasie zależy prawdziwem dobrodziejstwem. Ruch wiosenny, a więc o godzinę wcześniej się zaczynający, ma być zaprowadzonym według odwiecznego zwyczaju dopiero z dniem 16. kwietnia. My sądzimy jednak, że nie jakiś zwyczaj powinien być w tym wypadku miarodajny, tylko rzeczywista potrzeba mieszkańców. Za przykład niech posłuży tramwaj konny, który poczyna kursować w zimie i w lecie o całą godzinę wcześniej od elektrycznego, a przecie puszczenie w ruch konnego tramwaju jest nieco kłopotliwsze od zmobilizowania i wymarszu na miasto wozów elektrycznych.

Poselska wścieklizna. Chluba miasta Lwowa, „poseł Breiter", czuje się bardzo nieszczęśliwym. Jego próba wtargnięcia do Rady miejskiej nie powiodła mu się, i pan „poseł" całą winę tego niepowodzenia zwala na „Gońca", który — jak twierdzi niefortunny pan kandydat — osobę jego w opinii publicznej zohydził, oszkandalizował i z błotem zmięszał.

Niech czcigodny „poseł" Breiter bierze rzeczy trochę chłodniej i nieszuka wymówek na „Gońca", tylko wglądnie w swą kryminalną przeszłość i teraźniejszość, i niech powie, czy takie indywiduum, jak on, miałoby szanse dostania się w grono uczciwych mieszczan, choćby „Goniec" jego wstrętną osobą wcale się nie zajmował?

Pan „poseł" w swym pijackim szale rozgłasza, że gotuje na „Gońca" ciężkie gromy. Tych się najmniej boimy. Znamy je przecie. Da batiarom po parę szóstek i każe im bić szyby. Albo będzie podpłacał pałkarzy i nożowników do osobistych napaści. „Poseł" raczy jednak pamiętać, że dni jego poselskiej nietykalności są już policzone. W komisyi weryfikacyjnej parlamentu postawiony został wniosek na unieważnienie jego wyboru, ponieważ ten doszedł do skutku terrorem, szwindlem, gwałtem, oszustwem i przekupstwem. A wtedy pana „posła" zaszyją do miecha i będzie dogrzewał pryczę po Wasińskim!

Czerwona muzyka. Otrzymujemy następującą skargę: Szan. Redakcyo! Poseł Daszyński domagając się w swej ostatniej filipice antimilitarnej usunięcia konkurencyi muzyk wojskowych, musiał niezawodnie towarzyszom lwowskim przysłać „ukaz", aby na gwałt uczyli się muzyki wojskowej i własną stworzyli sobie bandę, bo przy ul. Skarbkowskiej l. 23 co wieczór więcej niż pół tuzina „czerwonych" gęb dmie gwałtownie w trąby i różnej wielkości instrumenta dęte, wskutek czego lokatorowie i blizcy sąsiedzi tej wstrętnej budy już wytrzymać nie mogą.

Zadziwia przy tem dobroduszność czy nieświadomość władz wojskowych, które pozwalają swemu kapelmistrzowi na udzielanie socyalistom, zwłaszcza po wrogiej mowie Daszyńskiego w parlamencie, nauki w wojskowej muzyce. Jeśli już banda wojskowa tak się z nimi fraternizuje, to niechby sobie całą „socyalistyczną bandę" zabrała do kasarni i tam ją zaprawiała na trąbach jerychońskich, a wszyscy lokatorowie i sąsiedzi czerwonego domu nr. 23 byliby jej za to bardzo a bardzo wdzięczni. Sąsiedztwo bowiem menażeryi Hagenbeka czy Buffalo-Billa byłoby znośniejszem, gdyż hyeny i słonie wyją i ryczą tylko wtedy, gdy są bardzo głodne, i to krótko, a menażerya na II. piętrze pod nr. 23 wyje na trąbach co wieczór dwie godziny i dłużej, a ubiegłej niedzieli prawie całe popołudnie. I któż to zdolen wytrzymać!

Imieniem tedy najbliższych sąsiadów i lokatorów tej bandy, zapytuję Szanowną Redakcyę, czy już niema na to sposobu we Lwowie, aby nam, ludziom pracy umysłowej, zapewnić spokój wieczorny i niedzielny, tak potrzebny, po całodziennej wytężającej i wszystkie zasoby nerwowe wyczerpującej pracy umysłowej?...

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku i t. d.

Zmiany w apelacyi. Przed paru dniami donosiliśmy, że z apelacyi lwowskiej ustępuje w zasłużony stan spoczynku wiceprezydent wyższego sądu krajowego dr. Jan Dylewski. Równocześnie, jak nam wiadomo ustępuje 4 radców starszych. Na miejsce ustępującego wiceprezydenta wymieniają p. Czerwińskiego prezydenta sądu tarnopolskiego i W. Woltera radcę apelacyjnego przy trybunale we Wiedniu.

Bakcyle miłości. Dzisiejsza premiera Adolfa Walewskiego „Bakcyle miłości" należy do najweselszych krotochwil, wystawionych w ostatnich czasach na naszej scenie. Na wczorajszej generalnej próbie, artyści, biorący udział w tej nowości, bawili się sami znakomicie a obecny na próbie autor odbierał ze strony kolegów serdeczne życzenia za napisanie tej zabawnej farsy, która od początku do końca tryska wielkim humorem, i wielce komicznemi sytuacyami. P. Nowacki, grający tenora, ulubieńca kobiet — w którym wszystkie się kochają, od dziewczyny 17-letniej aż do 40-letniej Herod-baby którą znów gra pni Gostyńska — wraz z pp. Feldmanem, Kwiatkiewiczem i Dobrzańskim, mają dziś obszerne pole ubawienia publiczności.

W Związku naukowo - literackim odbędzie się we czwartek 9. b. m. o godzinie 8-mej w lokalu Kasyna miejskiego, ul. Akademicka, zebranie na którem wygłosi odczyt prof. uniwersytetu dr. M a r y a n S m o l u c h o w s k i na temat „Luźne uwagi o społecznych stosunkach w Anglii".

Doraźny sąd. Chaim Kranz, handlarz obuwia na pl. Krakowskim, miał wrzekomo „orżnąć" żonę zarobnika Michała Grzypa przy sprzedaży trzewików. Grzyp zrobił zatem krótki proces. Dobrawszy sobie do pomocy Jana Szumskiego, wpadł do sklepu Kranza i orżnął go znów po swojemu pięścią. Kranzowi byłoby wogóle bardzo źle poszło, gdyby na jego krzyk przechodnie nie byli wpadli do sklepu i nie wyrwali go z rąk rozżalonego Grzypa. Kranz ma teraz nauczkę, że niewolno szwindlować butami.

Tragiczny los epileptyka. Wczoraj na gruntach leżących między cmentarzem a ul. Piekarską (niegdyś ogród hr. Baworowskiej) dostał ataku epileptycznego pewien robotnik. Na gruntach tych wskutek stopniałego śniegu potworzyły się głębokie bajury błotne. Nieszczęście chciało, że robotnik ów wpadł do jednej z tych bajur. Idący ulicą Piotra i Pawła przechodnie zauważyli ten wypadek, ale nim dobiegli na miejsce i nieszczęśliwego z bajury dobyli, ten udusił się w nocy.

Żywcem pogrzebany. Przedwczoraj zamieściliśmy list naszego korespondenta z przemyskiego o strasznym wypadku, jaki zaszedł we wsi Kosienicy pod Przemyślem. Grabarz, który zakopywał zwłoki pewnego ubogiego gospodarza usłyszał z wnętrza nagle jęki i stukania. Z pomocą strażnika odkopał po jakimś czasie trumnę, a gdy ją otworzył znalazł w niej pokręcone członki zwłok owego pochowanego gospodarza, w innej jednak pozycyi niż je pogrzebano. Twarz wykrzywioną była nadludzkiem cierpieniem, usta pełne krwi, ręce kurczowo powyginane a paznokcie powbijane w deski trumny. Widoczne było, że niedoszły nieboszczyk zbudził się z letargu a widząc swe straszne położenie, całą siłą usiłował się z grobu wydobyć.

Uprzykrzył sobie kubitę Jan Kossanowicz, dozorca domu, i spakowawszy swoje i żonine rzeczy, pojechał w świat daleki szukać lepszego losu. Żona jego

Anna Kossanowicz, zwróciła się do policyi z prośbą, aby niewiernego męża ścigała wszystkimi, stojącymi jej do dyspozycyi środkami, a głównie odebrała mu pierzynę i poduszki, które znudzony monotonią małżeńską uciekinier zabrał ze sobą.

Blончio szuka mamy i tata. Na inspekcyę policyjną sprowadzono wczoraj trzyletniego malca, który zabłąkał się w mieście, bo „siukał mamy i tata“. Chłopczyna wie tylko, że mu na imię Bionuś, zresztą cały świat go nic nieobchodzi. Policya oddała go pod opiekę komisaryatu II. dzielnicy.

Dzieci pod wozem. Wczoraj na Starym Rynku na dwoje bawiących się dzieci kupca Sohna najechał wóz i tylko przytomności woźnicy, który w czas wstrzymał konie, mają do zawdzięczenia, że nieprzypłaciły tego życiem lub ciężkiem kalectwem, a skończyło się na potłuczeniach, które opatrzyło Pogotowie. Z nadchodzącą wiosną, gdy dzieci chętnie uciekają z domu, niech ten wypadek będzie nauką dla rodziców, że drobiazgu nienależy samopas puszczać na ulicę.

Jędrzej Szura, dał nura! Anna Pawełek, z fachu pokojówka, mając wolną a nieprzymuszoną wolę wstąpienia w święty stan małżeński, poczęła sobie bardzo rozsądnie, bo jęła szparować grosz do grosza, aż uciułała sobie 320 koron. Gdy już miała jaką taką wyprawę i wyżej wspomniany posag, zaczęli się schodzić kawalerowie, a z tych niejaki Jędrzej Szura zdobył sobie jej specyalne zaufanie, tak dalece, że powierzyła mu nawet swój posag na wyrobienie „mentryki“ i na ugruntowanie domowego ogniska. Ale dostawszy pieniądze, Szura dał nura ze Lwowa, i Andzia desperuje teraz za pieniądzmi, jak... jak... już wiecie kto i za czem!

Korespondencye Redakcyi.

Zetka. Traktat pyszny, szkoda, że zbyt pochlebnie dla nas zredagowany, i dlatego zamieścić go niemożemy. Może przyśle nam pan inny artykuł, równie cięto pisany?

J. J. Najlepiej odsyłać każdy numer z dopiskiem na opasce „nieprzyjety“. Ostatecznie księdzu G. znudzi się to i wstrzyma dalszą wysyłkę.

Z KRAJU.

Jak się hajdamacy modlą? We wsi Szołomyi niedaleko Lwowa, istnieją dwie czytelnie: staroruska i ukraińska. Obie walczą ze sobą zawzięcie. Większość gminy jest jednak staroruską, więc także i bractwo cerkiewne i chór złożone są z adherentów partyi staroruskiej. Cóż więc czynią ukrainofile, aby im dokuczyć?

Oto w cerkwi podczas nabożeństwa, wyprawiają kocią muzykę, bo gdy chór starorusinów zaczyna śpiewać według przepisanego rytuału, ukraińcy wpadają temu chórowi inną nutą i wywołują tym sposobem w cerkwi zamieszanie i głośne kłótnie. Ksiądz stojąc przy ołtarzu, jest wobec tych awantur w najprzykrzejszem położeniu, bo ilekroć gromi demonstrantów ukraińskich, oni w głos szydzą z jego nauk. Do tego doszło, że proboszcz zmuszony był znaczną część swoich parafian zaskarżyć do sądu z powodu złośliwego przeszkadzania w nabożeństwie i profanacyi religii.

A trzeba wiedzieć, że taki wypadek, jak owe zajścia w Szołomyi, nie jest odosobniony, ponieważ radykalne gazety ruskie, szerzące systematycznie pomiędzy ludem ruskim pogardę dla duchowieństwa i propagandę bezwyznaniowości, rozchodzą się w tysiącach egzemplarzy po wsiach ruskich i każdy afront, wyrządzony „popowi“, sławią jakby jakiś czyn bardzo chwalebny, niemal bohaterski.

Bekiesz znów uciekł. Z Bursztyna donoszą: Julian Bekiesz, który, jak to donieśliśmy, został aresztowany w Buczaczu i odstawiony do sądu dnia 3. bm., został wypuszczony przez sąd tutejszy na wolność, przyczem zapóźno zawiadomiono urząd gminny o tem, że ma Bekiesza jako niebezpiecznego umysłowo chorego odstawić z powrotem na Kulparków. Sprytny waryat uciekł tedy znowu — i buja po świecie dalej bezkarnie. Urząd gminny, o wypuszczeniu Bekiesza zawiadomiony dopiero po półtora godzinie, pomimo energicznego poszukiwania przez inspektora policyi, nie zdołał już wpaść na jego tropy. Bekiesz uciekł w kierunku Stanisławowa.

ZE ŚWIATA.

Egzekucya chorwackich morderców. Przed kilku dniami wykonano w Bonn w Niemczech egzekucyę na 3 robotnikach chorwackich: Kototovicu, Pajzicu i Kantarze, którzy w zeszłym roku zamordowali i obrabowali 80-letniego szynkarza Naffa oraz 2 inne osoby, zamieszkałe wraz z nim.

Egzekucya była pierwotnie naznaczoną na dzień 31. marca, musiano ją jednak odroczyć w ostatniej chwili, ponieważ nie można było znaleźć spowiednika chorwackiego, jakiego żądali skazańcy. Na podwórzu ustawiono trzy trumny drewniane, napełnione trocinami. Najpierw stracono Kototovica. Pomocnicy kata związali mu ręce, oraz zasłonili oczy przepaską; zanim obecni zauważyli ruch kata, głowa skazańca spadła już do ustawionego obok kosza. Zwłoki złożono szybko do trumny, zamknięto ją, miejsce egzekucyi splamione krwią, wysypano świeżemi trocinami. W ten sam sposób stracono także dwóch innych morderców. — Czwarty wspólnik zbrodni powiesił się w kaźni, po ogłoszeniu mu wyroku, ostatni, umieszczony w zakładzie obłąkanych, został ułaskawiony.

Elektryczny dom. Elektrotechnik francuski Grzegorz Knap wystawił sobie kamienicę z elektrycznem urządzeniem do najdrobniejszych szczegółów, począwszy od elektrycznego czyszczenia obuwia, aż do elektrycznego odwiedzania oper teatralnych, które najzwyczajniej się słucha przez specyalnie w tym celu urządzony aparat. Najciekawszą jest kuchnia, w której maszynka do siekania mięsa, młynki i różne inne przyrządy, wraz z samem gotowaniem są kierowane i pędzone siłą elektryczną. W jadalni wystarczy nacisnąć guzik na środkowej płycie stołu, by opróżnione półmiski zniknęły, a miejsce ich zajęły świeże potrawy. Podobnej zmianie podlegają i wypróżnione butelki.

TELEGRAMY.

TELEGRAMY „GOŃCA“ WCZORAJSZE.

Rada państwa.

Wiedeń. Na wczorajszem posiedzeniu Izby posłów, postawił syonistyczny poseł Gabel, wniosek o dopuszczenie drobnych kupców do ubezpieczenia na starość, oraz na wypadek niezdolności do pracy.

Po kilku interpelacyach p. Onyszkiewicza, Oleśnickiego, Trylowskiego i Breitera — przystąpiono do dalszej obrady nad nagłym wnioskiem w sprawie podwyższenia kontyngentu rekruta. W imiennem głosowaniu przyjęto nagłość wniosku 303 głosami przeciw 122 i przystąpiono do rozprawy o samym wniosku w sprawie kontyngentu rekruta.

Zamach na konsulat.

Nowy York. Donoszą z Mukdenu, że czterech Japończyków wtargnęło do tamtejszego konsulatu amerykańskiego i zaatakowało kilku urzędników. Chodzi o akt zemsty prywatnej. Na żądanie konsula policya chińska aresztowała owych Japończyków i odstawiła ich do konsulatu japońskiego. Sądzą, że sprawa ta wywoła rokowania dyplomatyczne.

Co robi Stoessel w więzieniu?

Londyn. Korespondent „Standard“ donosi, że bohater portarturski, po utracie rangi wojskowej figuruje na wszystkich dokumentach urzędowych jako „dworjanin Stoessel“. Dzieje się to za pozwoleniem cara. Z żoną widuje się Stoessel codzień w swoim pokoju w z petropawłoskiej twierdzy. Z innymi odwiedzającymi może raz na tydzień spędzać parę godzin w osobnej sali. Na pierwszą jego „recepcyę“ przybyli generałowie Fock, Reiss i inni, którzy po nim służyli w Porcie Artura. Stoessel czyta dużo i pisze swoje pamiętniki, a ponieważ lubi ptaki, więc mu pozwolono urządzić dla nich wielką klatkę za oknem więziennej celi. Wstaje o godzinie 9-ej, przynoszą mu samowar, listy i gazety — o 11-ej używa przechadzki, o 1-ej zasiada do obiadu, który mu przynoszą z restauracyi, potem odbywa drzemkę, widzi się z żoną i z nią pije około godziny 5-ej herbatę. Zdrowiem cieszy się doskonałem.

Aresztowanie redaktora.

Sarajewo. Naczelnego redaktora tutejszego serbskiego pisma „Riecz“ aresztowano z tego powodu, że prokuratorya w kilku artykułach, zamieszczonych w tem piśmie, dopatrzyła się zdrady stanu.

Smiertelna bójka studentów.

Wrocław. Przedwczoraj w Klauwitz przyszło do ostrej wymiany słów, między studentem uniwersytetu Hänischem i nauczycielami Frummerem i Grzegorzem. Wszyscy trzej byli zdaje się pijani. Hänisch napadł na Grzegorza na ulicy, przewrócił go i począł bić; ten dobył noża i zadał napastnikowi rany w piersi i brzuch, od których Hänisch wkrótce zmarł.

Znów miliony uciekają.

Nowy Jork. Panna Anna Gould, córka głośnego miliardera, mimo sprzeciwiania się swej rodziny, postanowiła wyjść za mąż za księcia Sagan. W myśl postanowień testamentu jej ojca, traci panna Gould połowę swego posagu na wypadek, gdyby wyszła za mąż wbrew woli swej rodziny. Prawdopodobnie sądzi ona, że i przy 35 milionach koron, jakie jej jeszcze pozostaną, niedostatku nie zazna.

Pożar gorzelni.

Nowy Jork. W Peoria (Illinois) wybuchł pożar w olbrzymiej gorzelni. Około 20.000 beczek alkoholu stało się pastwą płomieni. Rozlany spirytus tworzył całe jeziora. Wielu z ludności rzuciło się na alkohol i popiło się do utraty zmysłów, wskutek czego są ofiary w ludziach.

Wybuch wulkanu.

Londyn. „New Jork Herald“ donosi, że pod San Felice w Guatemala nastąpił silny wybuch wulkanu. Ludność San Felice w najwyższem przerażeniu opuszcza miasto. Istnieje obawa, iż sąsiednie miasto, Quezaltenango, zostanie również doszczętnie zniszczone.

TELEGRAMY „GOŃCA“ DZISIEJSZE.

Akuszerki się ruszają.

Wiedeń. Zjawiła się tu wczoraj deputacya akuszerek z całej Austryi, która pojedyńczym posłom i stronnictwom przedłożyła prośbę w sprawie ustawowego uregulowania kwalifikacyi akuszerek, a zwłaszcza większego nadzoru co do kwalifikacyi elewek klinik akuszeryjnych.

Hr. Sternberg się bije.

Wiedeń. Wczoraj rozeszła się wiadomość, jakoby poseł Bergmann miał odmówić satysfakcyi hr. Sternbergowi, a następnie kolportowano pogłoskę, że hr. Sternberg wyraźnie oświadczył, iż jeżeli satysfakcyi nie otrzyma, to w innej drodze postara się o własną satysfakcyę.

Pod wieczór zaś zapewniano, że dziś rano odbędzie się pojedynek na szable, pod lżejszymi warunkami, aniżeli pierwotnie proponowano.

Ludowcy a Koło Polskie.

Wiedeń. Ludowcy propozycye Koła odrzucili. Obstają przy swoich. W sprawie solidarności zanosi się na ustępstwo o tyle, że solidarność odpada przy uchwałach większości na żądanie 15 posłów, jeśli ich poprą dwie piąte Koła.

Hejże na Turcyę!

Paryż. W izbie deputowanych wystosował deputowany Denys Cochin do ministra spraw zagranicznych zapytanie w kwestyi macedońskiej i czy Francya jest zdecydowaną wystąpić energicznie przeciw Turcyi, która już zniecierpliwiła Europę?

Minister spraw zagranicznych Pichon odpowiedział, że dążeniem Francyi jest unikać wszystkiego, coby naraziło pokój europejski, poczem mówca podkreślił, że z chwilą pojawienia się rosyjskich propozycyj co do reform w Macedonii, natychmiast je zaakceptował, uznając je za najlepsze.

Pruskie pluskwy.

Petersburg. Kilku posłów ze skrajnej prawicy Dumy gromadzi materyały co do liczby poddanych niemieckich, znajdujących się na posadach w Królestwie Polskiem, wskazując na to, że w Polsce jest przeszło 300.000 poddanych niemieckich, którzy, zdaniem prawicy, w razie wojny z Niemcami w granicach Rosyi mogą utworzyć całą armię niemiecką, doskonale wyćwiczoną. Materyały te posłużą do interpelacyi w Dumie.

Bomba w haremie.

Londyn. Ze Stambułu donoszą, iż w haremie sułtańskim znaleziono bombę, ważącą 10 kilogramów.

Hojny dar.

Nowy Jork. Carnegie przeznaczył znów 25 milionów franków na wyposażenie założonych przez niego instytucyj naukowych. Razem wydał dotąd Carnegie na instytucye naukowe 750 milionów franków.

(Galicyi przydałby się taki mecenas!).

Z za kulis tureckiego haremu...

(Tryb życia. — Wróżby. — Spacery ogrodowe. — Turczynka jako dziecko. — Życie w haremie. — Legendy o szczęściu. — Troska o piękność. — Wstręt do życia. — Iluzye snów).

(Dokończenie)

Poczem znów zjadają iście stosy bakalij tureckich i cukierków, to znów wybranych smakołyków i konfitur... przeplatając nudę codzienną przeglądaniem się w zwierciadłach, lub piciem mokki, bądź stawianiem pytań wschodnim wróżychom na temat niepewnej przyszłości.

— I o co pytają wróżbiarki — zagadnie niejeden z was.

Oto po pierwsze, czy długo jeszcze pozostanie piękną, czy nadal podobać się będzie swemu „małżonkowi" — ile, i kiedy będzie miała dzieci? Od czasu do czasu, w pogodny słoneczny dzień opuszczają kobiety haremowe swe buduary, udając się na przechadzkę po alejach haremowych ogrodów i parków. Lecz i tu znów przytłacza je obyczaj turecki. Żadna osoba ludzka, żadna żywa dusza prócz nich nie śmie się podówczas znajdować w ogrodzie, okrom służalczych nie „niebezpiecznych" eunuchów murzyńskich i służebnic. Po godzinnym spacerze powracają do swych komnat, na dalsze bezczynne „dolce far niente".

Najbardziej ponurą stroną w życiu młodej Turczynki jest to, iż w czasie, kiedy jest jeszcze dzieckiem ma najzupełniejszą swobodę, i wolność — może się do syta uczyć i czytać, kształcić według swego pragnienia. Rozumie się, że mowa tu o bogatych rodzinach tureckich. Ojcowie ich w wielkich miastach jak w Konstantynopolu, Kairze i Aleksandryi z dumą wprowadzają je w otoczenie Europejczyków szczycąc się ich inteligencyą i wykształceniem. Podbudzana tem do ambicyi młoda kobieta pragnie coraz to więcej rozprzestrzeniać skrzydła do indywidualnego rozwoju, gdy tymczasem nadchodzi rok 13 życia, z którym znika jak zakonnica zamknięta w ponurych celach klasztornych.

Bramy haremu zamykają się za nią na zawsze, w czasie jej najpiękniejszego rozkwitu duszy i ciała, zdana na łaskę lub niełaskę jej nieubłaganego, surowego częstokroć właściciela, mając odtąd swem młodem, rozkwitłem ciałem sycić i zaspakajać żądze lubieżne swego władcy. Są w Turcyi kobiety, dla których harem stanowi najwstrętniejszą otchłań nędzy, bolu, rozpaczy i męczarni, bo widzą, że tworzą jedynie materyał zużywany, że dla ich jedynie ciała i urody zniża się bogaty basza po ich wdzięki. — Przejęte są też wielekroć odrazą do tych stosunków panujących w życiu haremu, których jednakże zmienić nie mogą; inne natomiast idą za bramy tego doczesnego „raju rozkoszy" z chęcią i upodobaniem, jako, że od zarania młodości opowiada im bądź stara piastunka, bądź metresa, bądź też i sama matka najcudowniejsze legendy o boskiem współżyciu w haremie, o jego niebiańskich rozkoszach i dziwach — wtajemniczane też bywają wcześnie w całą bezgraniczność rafinowanych wyuzdań płciowych, nadużyć cielesnych, rozkoszy seksualnych, któremi mają zyskać sobie łaskę i upodobanie wyniszczonego już kochanka-władcy...

Co za bezgraniczna rozpacz tai się w tem jednostajnem, monotonnem tempie życia!

Odaliska poza prymitywną zabawą lub graniem na cytrze albo mandolinie, albo też słuchając śpiewanych ballad i namiętnych a sprośnych piosnek ludowych, nie zajmuje się niczem poważniejszem. Całe jej zajęcie skupia się wyłącznie w doprowadzeniu do „par excellence", do możliwej piękności i czaru swego ciała i wogóle swej osoby, od czego jedynie zawisła łaskawość utrzymującego harem właściciela.

Wielką część dnia spędza odaliska w półmrokach tonącego buduaru, siedząc na puszystych sofach, zasłanych jedwabistemi tkaninami i poduszkami, tonąc w bezpamięci lub w dziwacznych wizyach; do rąk nie bierze przenigdy książki, choć jej częstokroć serdecznie pragnie, dlatego, że jej dusza miałaby rozległe pole do myślenia i rozpatrywania życia a roztrząsania jej rozpaczliwego położenia. Byłoby to powiększeniem jej tragedyi życiowej, a kto wie, czy nie zabiłoby nieraz i jej własnej egzystencyi!

A tak nurzając się w przepychu nagiego, wonnego kosztownymi olejkami ciała, w miękkich pokryciach kanap lub stosach delikatnych poduszek, podniecana wizye dającem nardzilem, oddaje się ona jedynie rozmyślaniom nad wytworzeniem sobie coraz to nowych sposobów i środków pozyskania sobie na wyłączne posiadanie kochanka a odstręczenia go od używania innych kobiet haremowych.

* * *

Na dalekich wzgórzach zachodzi w falach ponsowych i granatowych obłoków płomieniste słońce... Kładzie palące gorącem pocałunki na różanych krzewach i zagajnikach oliwnych, pali się krwawemi łunami na szybach okien haremu, wlewając pozłociste fale zawiei słonecznych blasków we wnętrze buduaru haremowego. Skrzydlaty półzmierzch czai się po kątach komnaty, czepia się długimi cieniami wykwintnych sprzętów... wsiąka w całą atmosferę...

Przy cichych... melancholijnych... tonach muzyki... w rytmie skandowanych pieśni wschodnich... siedzą na ponsowych sofach, w bezwładzie, omdlałe, zapatrzone w otchłanie niejasnych wizyj odaliski, przędząc smutne sny, może o balladowym rycerzu-kochanku, wichrowych lotach swobody, cichej, ekstatycznej miłości, kwitnącej wiośnie szczęścia... Może... Wszak tego już nikt im zabronić nie może... w tem jedynie jak w ożywczem zdroju nurzać się mogą myślami... pomimo całej ich złudy i illuzyi... *d.*

Odpowiedzialny redaktor: Stanisław Brandowski. Wydawca: Stanisław Tokarski. Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Józefa Ziembińskiego.